

Piotr Gociek: Efekt Lema

Czytany z dzisiejszej perspektywy Lem okazuje się pierwszym wielkim pisarzem płynnej post-nowoczesności, człowiekiem, który opisał bolączki XXI wieku, zanim jeszcze ów wiek nastąpił. Nie dlatego, że był wybitnym futurologiem (wyszydzał futurologię), lecz dlatego, że uważnie obserwował współczesność – pisze Piotr Gociek w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Lem. XX-wieczne wyświechtanie przyszłości”.

Najcelniej rolę twórczości Stanisława Lema w tamtych czasach określał przy różnych okazjach śp. Maciej Parowski: nie mieliśmy fantastyki, ale mieliśmy Lema. Dzisiejszym czytelnikom przyzwyczajonym do nieustannego nadmiaru premier trudno będzie w to uwierzyć, ale przez pierwsze dekady PRL *science fiction* była dzieckiem tak niechcianym, że niemal nieistniejącym. Pojedyncze tytuły i autorzy, nieliczne przekłady (jeśli już – to oczywiście import ze Związku Sowieckiego). Wszystko to miało się powoli zmieniać od przełomu lat 60. i 70., a przyspieszyć w latach 80. wraz z pojawieniem się pisma „Fantastyka”, ale wcześniej polską fantastyką był jednoosobowo Lem. I to z jakże imponującym skutkiem! Nie mieliśmy fantastyki społeczno-politycznej – ale mieliśmy „Pamiętnik znaleziony w wannie” czy „Powrót z gwiazd”. Nie mieliśmy hard SF, ale mieliśmy „Maskę” czy „Głos Pana”. Nie mieliśmy fantastyki filozoficznej – ale dostaliśmy „Solaris”. Nie mieliśmy fantastyki satyrycznej – w to miejsce wkroczyła „Cyberiada”. Nie mieliśmy, bo mieć nie mogliśmy, krytyki literackiej analizującej fenomen SF, i tutaj także pierwszy pojawił się Lem z kapitalnym dwutomowym dziełem „Fantastyka i futurologia”.

*Lem był w swej wielkości
bardzo samotny*

To, co naprawdę miał
na myśli Parowski,
nie oznacza po
prostu
przypomnienia, że

na pustkowiu pojawił się ktoś tak wyjątkowy jak Lem. Chodzi o to, że Lem wypełnił sobą wszystkie te nisze, które w normalnym kraju, z normalnym rynkiem wydawniczym, zostałyby wypełnione przez tabuny pracowitych autorów. W PRL był sam dla siebie największym wyzwaniem i fenomenem, jakiego w dziejach literatury nie mieliśmy nigdy. Kiedy w pierwszych latach szkoły podstawowej maszerowałem do dzielnicowej biblioteki, półeczka z napisem „fantastyka” zawierała w połowie książki Lema. Pamiętam i takie biblioteki, w których było to trzy czwarte. Miarą niezwykłości i ambicji Lema niech będzie fakt, że nigdy nie odpuścił, nigdy nie pozwolił sobie na obniżenie lotów, choć nie miał się z kim boksować – a to wielce demoralizujące. Równie demoralizujące, jak lekceważenie, z jakim spotykała się jego twórczość ze strony krytyki, wykładowców uniwersyteckich, filozofów. Spory takie jak ten z Kołakowskim o „Summę technologiae” należały do rzadkości. Lem był w swej wielkości bardzo samotny.

Oczywiście, jak to bywało w PRL, potem wszystko zostało postawione na głowie. Lem cenny był dla władz jako produkt eksportowy i dowód na wyższość komunizmu nad kapitalizmem (wszak myśmy Lema mieli, a Amerykanie – nie). Pomagała wielka popularność Lema w Związku Sowieckim, gdzie zaczytywali się nim zarówno studenci, jak i kosmonauci, zaś „Solaris” ekranizowano dwa razy (najpierw film telewizyjny z 1968 roku, potem słynne dzieło Andrieja Tarkowskiego wyróżnione w 1972 r. w Cannes Grand Prix Jury). Nie zmieniło to specjalnie recepcji Lema w Polsce – wciąż traktowany był trochę jak

dziwołał. Rosły nakłady jego książek, ale w chwili, kiedy oczekiwania czytelników zaczynały się zmieniać – lata 80. to już czas wielkiego głodu amerykańskiej science fiction, eksplozji najpierw fantastyki socjologicznej, potem popularności fantasy. To szybki rozwój ruchu fanowskiego, klubów SF, konwentów; to popularność wideo. Coraz rzadziej rozmawialiśmy na konwentach o tym, co u Lema (zwłaszcza że beletrystykę pisywał już bardzo rzadko), coraz częściej o tym, czy „Blade Runner” dorównuje „Odysei Kosmicznej 2001”, zachłystywaliśmy się odkryciem takich pisarzy jak Philip K. Dick czy Ursula K. Le Guin. A w nielegalnym obiegu wydawanych pokątnie książek SF królowały broszury o Conanie, „Fundacja” Asimova oraz nowelizacje filmów z cyklu „Gwiezdne wojny”.

Jednocześnie „Bajki robotów” trafiły do szkół jako lektura. Szczerze? Nie są to moim zdaniem w ogóle opowieści dla dzieci, pełne są humoru i aluzji zrozumiałych jedynie dla dojrzałego czytelnika. Jeśli mogły przynieść budzącym się i dopiero kształtowanym umysłem jakiś pożytek, to jedynie poszerzeniem wrażliwości na językowe zabawy, których Lem był mistrzem. Gdy wczytamy się zarówno w „Cyberiadę”, jak i „Dzienniki gwiazdowe”, widzimy rzeczy ponure, widzimy bezmiar Lemowskiej mizantropii, widzimy amoralną władzę, potęgę kłamstwa, wielopostaciowość tyranii.

*Humor był dla Lema formą
ratunku przed skrajnym
pesymizmem*

Wspomniał kiedyś
Lem o tym, że humor
był dla niego formą
ratunku przed
skrajnym
pesymizmem. Gdy

wydawało mu się, że zaczyna opowiadać o rzeczach naprawdę

smutnych i przerażających, dla równowagi wciskał do dechy pedał śmiechu: gorzkiego, wisielczego, cudownie błyskotliwego. Pisarzem, który go uformował, był wszak w dużym stopniu H.G. Wells, utopista-pesymista. Uczył nas Lem i bawił – mówię o pokoleniach, które same zaczynały przygodę z literaturą w latach 70. i 80. XX wieku – a myśmy przesiąkali nim bardziej, niż można to było zauważyć. Skłaniał do polemiki (spójrzmy, jakim pięknym kontrapunktem do „Solaris” jest „Arsenał” Marka Oramusa), pobudzał do równie uważnego postrzegania i analizowania świata (Jacek Dukaj jest znakomitym Lema spadkobiercą), odciskał piętno na języku (mój debiutancki „Demokrator” uszyty jest z rozmaitych fascynacji i bojów, ale ojcem nastroju tragifarsy, języka i królującego w powieści słowotwórstwa pozostaje Stanisław Lem).

Z drugiej strony pamiętam – znów cofam się do dzieciństwa – czasy, kiedy najłatwiej było zacząć znajomość z Lemem od jego książek najgorszych. Pierwszą, którą otrzymałem w prezencie – a miałem wówczas może siedem, może osiem lat – była powieść „Astronauci”. Niespecjalnie ją zrozumiałem, była okrutnie nudna, a kilka lat później, już jako buntujący się nastolatek odkryłem także jej nieznośny bagaż ideologiczny. „Obłok Magellana” był męczarnią równie wielką. W porównaniu z nimi oryginał komunistycznej utopii, czyli „Mgławica Andromedy” Iwana Jefremowa, wydawał się dziełem lekkim i atrakcyjnym jak książki Karola Maya o Winnetou. A kiedy wróci się do najwcześniejszych opowiadań Lema, jakże mocno widać w nich to, że nic nie widać. Znaczą: nic nie zapowiada, że kiedyś ich autor będzie klasą dla siebie, ekstraklasą wewnątrz światowej ekstraklasy. Znajduję w tym wielką pociechę dla wszystkich parających się pisaniem – jeśli możesz zaczynać od tak słabych historii, a skończyć jako twórca

„Solaris”, „Fiaska”, „Wizji lokalnej” to znaczy, że *sky is the limit*, i tylko od naszej własnej ciężkiej pracy nad sobą zależy, gdzie leży kres naszych możliwości.

Piszę te słowa z okazji setnej rocznicy urodzin Stanisława Lema, w roku oficjalnych uroczystości, imprez, wspomnień. Jak przypominałem w tygodniku „Do Rzeczy” („Ominąć Lema” nr 36/2021), nasz genialny pisarz i myśliciel zdaje mi się – mimo całego tego zgiełku – figurą wciąż zapomnianą i niedocenianą. Nie doceniamy w pełni ani jego dorobku filozoficznego – rozważań o wyjątkowości chwili w historii, kiedy nauka jak nigdy wcześniej zaczyna odmieniać człowieka – ani oryginalności jego wizji, bo znajdziemy u niego motywy na setki sposobów obracane potem przez fantastów (i nie tylko). Ani literackiego talentu – nie ma i nie było drugiego takiego pisarza jak Lem, pozostaje on zjawiskiem unikatowym i wyjątkowym. Także umiejscawiamy go na firmamencie literackim XX stulecia w miejscu nie do końca właściwym. Wypadałoby pamiętać, że jego wisielcza ironia i mizantropia i bezradność w obliczu wszechświata bez Boga, rządzonego ręką przypadku, sprawiają że blisko mu do Becketta, Ionesco, Vonneguta, Hellera.

Lem pytany jaki będzie wiek XXI, odpowiadał „taki sam jak wiek XX, tylko bardziej”

Najważniejszą jednak rzeczą wydaje mi się, że czytany z dzisiejszej perspektywy Lem okazuje się

pierwszym wielkim pisarzem płynnej post-nowoczesności, człowiekiem, który opisał bolączki XXI wieku, zanim jeszcze ów wiek nastąpił. Nie dlatego, że był wybitnym futurologiem (wysztytował

futurologię), lecz dlatego, że uważnie obserwował współczesność. Pytany jaki będzie wiek XXI, odpowiadał „taki sam jak wiek XX, tylko bardziej”. (Michel Houellebecq ze swoim „nie obudzimy się w nowym świecie, lecz w takim samym, tylko trochę gorszym” jest, widzicie, nędznym Lema imitatorem). Paradoks nauki, od której oczekujemy zbawienia, a którą coraz bardziej lekceważymy. Samobójcze tendencje gatunku drenującego do granic możliwości zasoby planety, która jest jego jedynym domem. Absurdalny hedonizm epoki nowego *fin de siècle'u*. Intelktualne *seppuku* świata, w którym – jak głoszą trzy prawa Lema – „1) Nikt nic nie czyta; 2) Jeśli ktoś coś czyta, to nic nie rozumie; 3) Jeśli ktoś coś czyta i rozumie, to natychmiast zapomina”.

„Nie doceniłem głupoty panującej nam dziś mądrości. W naszej epoce – opakowań – liczy się etykieta, a nie zawartość” tłumaczył profesor Dońda w jednym z szaleńczo zabawnych i ponurych zarazem opowiadań Lema. Jest to tekst przynoszący cudownie celną metaforę współczesności. Dońda argumentuje, że cywilizacja produkująca bez umiaru informację, stworzy wreszcie masę krytyczną informacji, po której nadejdzie implozja. Informacja zdaniem Dońdy „powyżej masy krytycznej szczególnie jak zdmuchnięta. Oto bariera Dońdy, granica przyrostów wiedzy”. Wczytajmy się w tę metaforę i popatrzmy uważnie na nasz świat zatopiony w nadmiarze nieistotnych informacji, w mediach społecznościowych, *fejk niusach*, bredniach. Ten nadmiar już przyniósł, albo za chwilę przyniesie efekt Dońdy, znaczy „efekt Lema”. Wiedza zostanie (została?) unieważniona przez masę krytyczną informacji wszelakiej. Lem był naszą Kasandrą. I jak wszystkie Kasandry świata, nie został wysłuchany.

Piotr Gociak



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

